

Profesor Andrzej Grzegorzczak

Czasy małej wiary

Wspominanie przeszłości dotyka bardzo osobiście. Zarówno relacjonowanie samemu, jak i zapoznawanie się z relacjami innych, uruchamia mechanizmy psychiki, które w tradycji europejskiej moralistyki można umieścić pod hasłami: pycha, pokora i stany pośrednie. Psychologia współczesna używa określeń: mechanizmy obronne, struktury budujące poczucie własnej ważności, struktury „ja”. Zwłaszcza wspomnienie czyjejś porażki sprawnościowej lub moralnej stwarza pokusę. Zarówno dla tych, którzy ulegli porażce, jak i dla świadków. Dla winnych porażki pokusą jest zbudowanie sobie takiego obrazu wydarzeń, żeby nie musieć przeżyć momentu pokory, skruchy, uniżenia swojej osoby. Dla świadków, których porażka nie dotknęła pokusą jest przeżycie pychy: inni upadli, a ja nie.

Dla winnych wzorem pokory jest Apostoł Paweł, który w swoich wypowiedziach i listach wielokrotnie, można twierdzić że niemal przy każdej okazji, przyznaje dobitnie, że prześladował Kościół Chrystusowy, zanim się nie nawrócił. Nazywa siebie płodem poronionym, przyznaje, że nie jest godny nazywać się apostołem.

Styl wypowiedzi Pawła jest zresztą wzorem dla wszystkich. Prowadzi on dyskurs bardzo osobisty. Cały otwiera się na odbiorcę. Nie ma w jego wypowiedzi żadnego kamuflarza ani karierowiczostwa. Całkowita przezroczystość osoby i prostota świadectwa tego, co zostało mu odsłonięte. To, że tak wyraźnie zaznacza, że się nawrócił, daje wielką wiarygodność jego świadectwu. Poza tym unika fantastyki intelektualnej, kuglarstwa filozoficznego, w które tak łatwo wpadamy dzisiaj i na którym często budujemy swoją karierę.

Dla świadków wydarzeń lub ofiar represji pokusą jest, jak powiedziałem, pycha. Ma ona wiele odmian. Jest pycha udziału w czymś wielkim, nawet, gdy się było tylko biernym statystą. Oczywiście też jest pycha wywyższania się nad tych, którzy, wedle naszego dzisiejszego rozeznania, wówczas zawinili.

Moja własna próba niewpadnięcia w mechanizm pychy polega na zobaczeniu własnej winy; co najmniej i przede wszystkim jako winy uczestnictwa w zakłamej atmosferze tamtych czasów. Zakłamanie stawał się mianowicie brak

sprzeciwu względem przemocy ogarniającej całe życie kraju w latach, o których mowa.

W pięcioleciu 1948–1953 większość nas, młodych wówczas intelektualistów, nie rezygnujących z jakiegś perspektywy intelektualnej kariery, lub choćby z przywileju korzystania z państwowego mecenatu, robiła w owym czasie szereg gestów, które były dworskie lub wręcz służalcze. (Dziś wszyscy lepiej rozumiemy dialog gestów i własną odpowiedzialność za partnera dialogu, nawet jeśli jest to dialog ofiary z jej katem. Służalczość po 1956 r. znacznie się zmniejszyła, ale „dworskość” jak mawiali socjologowie została do r. 1980. (Chyba socjolog Jan Szczepański jest autorem pojęcia „dworskość”, oraz wedle mojej pamięci umiętnym realizatorem jej programu). Dopiero w czasie pierwszej „Solidarności” intelektualści poczuli się wolni od obowiązków dworu. W czasie tzw. stanu wojennego modna stała się z kolei wyniosła obraza na władzę.

Pozostawanie asystentem na uniwersytecie lub w instytutach PAN w tych latach rozumiało się jako korzystanie z mecenatu „komunistycznego” rządu. Jeśli humanista nie był marksistą, a miał pozycję uniwersytecką, to działał albo na zasadzie koncesji, albo złego rozeznania ze strony władzy oraz własnej skrytości. Złe rozpoznanie było możliwe przy odpowiednim maskowaniu lub nie ujawnianiu swoich poglądów. Mogę chyba śmiało powiedzieć, że wszyscy moi koledzy, którzy nie byli marksistami (a którzy pracowali w katedrach logiki na uniwersytetach Warszawskim i Poznańskim, asystenci Kotarbińskiego i Ajdukiewicza w owych latach), maskowali lub ukrywali swoje poglądy krytyczne względem marksizmu i względem polityki przemocy rządzącej partii. Nie pamiętającym tamtych czasów trzeba przypomnieć, że profesorowie Kotarbiński i Ajdukiewicz, w przeciwieństwie do Tatarkiewicza, mimo tego, że byli poddani krytyce i wpływy ich były ograniczane, pozostawali na uczelniach. Koledzy filozofowie po prostu unikali wypowiedzania się w sytuacjach, w których mogliby narazić swoją pozycję życiową. Tak samo zresztą postępowali młodzi marksiści, gdy zaczęli odczuwać rewizjonistyczne skłonności.

Dzisiaj może lepiej rozumiemy wartość świadectwa w każdym czasie. Wówczas przeważało nastawienie pragmatyczne. Wielu kolegów z nauk humanistycznych należących do PZPR bez wyraźnego przekonania, nawet w późniejszych latach (sześćdziesiątych i siedemdziesiątych) odkładało na później kontestacyjne gesty w rodzaju oddania legitymacji partyjnej do momentu uzyskania stabilnej pozycji uniwersyteckiej. Póki co, korzystali ze wszystkich możliwych przywilejów, jak przede wszystkim z łatwości wyjazdów za granicę.

Z biegiem czasu powstała w Polsce ciekawa sytuacja pewnej teatralności stosunków politycznych. Rządzący zaczęli zdawać sobie sprawę z krytycyzmu podwładnych. Nastąpiła niepisana umowa społeczna: władza jak gdyby powiedziała: wy udawajcie, że nas słuchacie, a my będziemy udawać, że wami rządzymy. W ten sposób utrzymywały się pozory stabilnego układu. Oczywiście cały teatr był zwrócony w stronę widowni, na której siedział starszy brat ze

wschodu. Dojrzewanie do poczucia własnej godności i zerwania z hipokryzją następowało powoli. Ostatecznym bodźcem był tutaj oczywiście Papież w 1979 r. W owym czasie różne środowiska, najpierw twórcze, potem robotnicze powie-działy sobie: nie będziemy więcej udawać posłusznych. Wtedy upadł mit o przewodniej roli PZPR. Cała fikcyjność politycznego układu wyszła na jaw.

Ale wróćmy do czasów stalinowskich. Ja byłem nieco swobodniejszy, miałem bowiem asystenturę na matematyce, która nie była uznana za naukę ideologiczną. Mimo to zachowywałem konwencję maskowania dającą możliwości publi-kacji w pismach filozoficznych, udziału w konferencjach i w innych formach oficjalnego życia towarzysko-naukowego. Raz jeszcze chcę zaznaczyć, że w tym maskowaniu widzę w sobie i nie tylko oczywiście w sobie coś niewłaściwego, niedocenienie szczerości jako wartości świadectwa. Właściwy intelektualny stosunek do drugiego człowieka wymaga pełnego otwarcia, które staje się świadectwem wartości. Pamiętam, jak Adam Schaff, wówczas wszechpotężny (i świetny organizator) zaproponował mi w roku 1950 czy 51 wykłady logiki, bardzo intratne w partyjnej szkole wyższej (IKKN). Wykręciłem się czymś tam, zamiast po prostu przyznać się, że światopoglądowo mi to nie pasuje. Kiedy zwierzyłem się kolegom socjologom, że mam tu pewne skrupuły sumienia, uznali, że jestem bardzo w tyle za rozwojem przyjętej konwencji światopo-glądowej. Uświadomili mnie, że w ogóle coś takiego, jak indywidualne przekonania, to jest pojęcie wychodzące z użytku. Nikt w to nie wnika, bo to po prostu traktowane jest jako przeżytek epoki. Był to dziwny sposób obrony swojej osoby: przez autodestrukcję.

W tamtych latach byłem nawet raz na pochodzie pierwszomajowym. Inni koledzy, zwłaszcza filozofowie, a nawet profesorowie (pamiętam Bogdana Suchodolskiego w pierwszym szeregu) uczęszczali na pochody pierwszomajowe systematycznie w wymienionym pięcioleciu. W swojej głównej części pochód był defiladą przed stojącą na trybunach rządzącą ekipą, która oklaskami wyrażała uznanie dla defilujących podwładnych. Użycie określenia „dworskość” wydaje się w pełni uzasadnione.

W ten sposób próbuję oddać moralną atmosferę, intelektualną naiwność, czy moralną mizериę, jaka była – jak się zdaje – udziałem ludzi nie należących do rządzącej partii. Ciekaw będę wnikliwej analizy tych, którzy w owym czasie stanowili młodą elitę intelektualną PZPR.

Chętnie bym np. posłuchał, gdyby koledzy marksiści z przełomu lat czterdzies-tych i pięćdziesiątych spróbowali sobie przypomnieć, czy zdawali sobie wtedy sprawę, że ich napady intelektualne na przedwojenną kadrę naukową, która nie chciała się przerobić na marksistowską, były przygotowaniem do pociągnięć administracyjnych w stosunku do tych, którzy nie potrafili się dostosować. Jaki był stopień ich ideologicznej młodzieńczej naiwności, a jaka ewentualna świadomość pełnego arsenału narzędzi ideologicznej walki, w której brali udział? Wydaje się, że dla wierzących w słuszność tamtego systemu powinno było być

oczywiste, że zastosowanie odpowiednich środków przemocy policyjnej czy administracyjnej jest zabiegiem właściwym w ramach systemu.

Lata 1953–1956, od śmierci Stalina do naszego przewrotu październikowego 1956 r., były stopniowym ujawnianiem się Absolutu: głosu sumienia, absolutnych moralnych wyczuć, jako ważniejszych od wydumanej doktryny. Klęska marksizmu jest więc klęską rozumu nie zakorzenionego w absolutnych wartościach. Reakcją dość prymitywną na marksizm jest dziś moda na generalną krytykę rozumu. Tymczasem używanie rozumu jest podstawowym składnikiem naszej zwykłej ludzkiej kondycji. Dlatego racjonalizmowi zamkniętemu marksistowskiemu lub pozytywistycznemu, należy dziś przeciwstawiać nie rezygnację z rozumu, ale racjonalizm otwarty na wartości, rozum widzący wartości i umiejący o nich mówić wnikliwie, precyzyjnie i konsekwentnie.

Teraz chciałbym dojść do tego, co wydaje mi się istotą moralnego upadku, jak myślę nie tylko mojego, ale wielu ludzi o formacji podobnej do mojej. Była nią, jak mi się zdaje, jakaś wewnętrzna utrata wiary w dobro. Coś trudno uchwytnego, ale przejawiającego się np. w zbytnim zaufaniu do twórczych możliwości przemocy władzy. Jak gdyby utrata nadziei, że na świecie liczy się coś poza siłą. Intuicję tę trudno wypowiedzieć w sposób bardziej precyzyjny i naukowy. Do pewnych głębszych refleksji dorasta się powoli.

Muszę tu przypomnieć wydarzenie intelektualne, które było może nie tylko dla mnie ważnym momentem owego dorastania. Mianowicie w 9 lat po przełomie, jakim był dla naszego pokolenia październik 1956 r., w dniu 22 października 1965 r. w Klubie Międzynarodowej Książki i Prasy na rogu Nowego Świata i Alei Jerozolimskich, Leszek Kołakowski wygłosił ważny referat pod tytułem: „Jezus Chrystus prorok i reformator”. Nie byłem na nim, bo przebywałem w Holandii. Przeczytałem go później. Został ogłoszony w „Argumentach”, w numerze gwiazdkowym (ostatnim) tego roku. Leszek dowodził w nim, że wbrew całemu pogańskiemu światu Chrystus pokazał, że przemoc nie jest wszechmocna, czy wręcz, że przemoc jest w istocie bezsilna... To był dopiero prawdziwy koniec stalinizmu w polskiej filozofii.

Historię można przeżywać jako spotkanie z Absolutem. Prawda, która się w tym spotkaniu odsłania jest indywidualna. Każdy w głębi duszy przekonuje się o tym, co było w jego życiu fałszem, i w głębi duszy przyznaje rację prawdzie, która przemawia do niego przez indywidualne koleje losu. Ci, co chcieliby fanfar, są zawiedzeni. Nie udaje się nam świętować samowystarczalności tego świata.

Żadne zwycięstwo nie jest jednak ostateczne. Historia ludzkich zmaganiań na stalinizmie się nie kończy. W tamtych czasach diabeł był przebrany za filozofa i udawał troskę o rozumny światopogląd. Dzisiaj występuje jako businessman-liberał, któremu drogi jest rozwój obrotu kapitałowego i dochód *per capita*, (czyli statystycznie na głowę każdego, ale do kieszeni tylko niektórych, tych, co umieją kłaniać się mamonie). Intelektualistów dziś on przekonuje, że cenna intelektualnie jest tylko taka myśl, którą można atrakcyjnie rozreklamować i dobrze

sprzedać. Trudno więc powiedzieć, kiedy było więcej umysłów nie zniewolonych, czy wtedy, czy teraz.

W Europie liberalizmu, gdy w każdym kraju jest kilka milionów bezrobotnych, trzeba mówić, że komunizm w swej istocie miał rację, tylko był robiony niemądrze, bo do prawdziwej sprawiedliwości trzeba dorosnąć. Liberalizm prowadzi do nazizmu bogatych. Widać to wyraźnie w antypopulacyjnej polityce Zachodu. Przeciwstawić mu więc trzeba komunizm z prawdziwie „ludzką twarzą”, czy powiedzmy inaczej: z twarzą chrześcijańską, jako, być może, jedyne możliwe rozwiązanie ekonomicznych dylematów świata.